

K. TETMAJER.

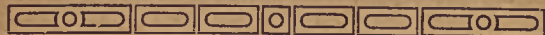
KSIĄDZ PIOTR

NOWELA.



DRUKIEM "PRACY",
WILKES-BARRE, PA.
1909.





K. TETMAJER.

KSIĄDZ PIOTR

NOWELA.



DRUKIEM "PRACY",
WILKES-BARRE, PA.
1909.



Ksiądz Piotr

— Jakiegoś to herbu, panie Dzięgielewski?
— Cykorya?

— Ozorya, do usług księdza kanonika do-
brodzieja.

— Aha! No proszę, ktoby myślał. A napił
byś się panie Dzięgielewski herbu Ozorya wód-
ki?

— Jak wola księdza kanonika. Czemu nie?

— A jakążbyś wacan dziś preferował. Any
zówkę, czy kminkówkę?

— A no tak po prawdzie żeby powiedzieć,
to kminkówka ze względu, jako jutro jest wto-
rek, wydaje mi się racjonalniejsza.

— O! Jakimże to górny stylem przema-
wiasz! Myślałby kto, żeś z nieboszczykiem Sło-
wackim Króla Ducha komponował. Ale cóż to
ma do tego, panie Dzięgielewski, organisto?

— Niby co, za pozwoleniem księdza kano-
nika, ma co do czego mieć?

— Kminkówka do wtorku?



7— A no, po prawdzie, żeby powiedzieć, to ona może i nie do niego nie ma.

— To dlaczegoż wasan powiedziałaś?

— E, kiedy to jegomość to tylko zawsze tak człowieka musztruje...

— Ho! ho! panie Dzięgielewski, organisto kłonięci! Pamiętasz, jakem was maszerować uczył, tu na dziedzińcu przed plebanią, kiedy to się na burzę zabierało? I karabinem machać? Choć, co prawda, tom sam maszerować nigdy nie umiał, bom służył w jeździe i miał pałasz, nie karabin. Pamiętasz, panie Dzięgielewski, jaki był ze mnie tęgi oficer w piątym pułku ułanów, za księcia Konstantego? Jakiego miałem konia kasztanka, ho! Pamiętasz waś, panie Dzięgielewski?

— Jakże mogę pamiętać, księżę kanoniku dobrodzieju, kiedy wtenczas moja matka jeszcze panną bywszy, w Sabańciszkach na jarmarkach tańcowała?

— A prawda, panie Dzięgielewski, że tyś cokolwiek młodszy odemnie. Wieleż to wiosa sobie liczysz?

— W metryce mam, jakbm się urodził w trzydziestym drugim, z ojca Kaspra Mateusza i Kleofasyi Zaścianańskiej, Ozorya Dzięgielewskich małżonków.

— I odrazu miałeś takie żółte wasy, panie Dzięgielewski organisto?

— Ou, gdzie zaś! Jakże mogłem wasy mieć, dopiero z łona matki wyszedłszy?

— A był Rzymianim dentatus, co się z zębami urodził, dlaczegożby nie miał być Dzięgielewski "wąsatus"? Czyś to co gorszego od jakowego poganina, albo co?

— Pewnie, żeśmy od pogan lepsi — jeszcze szlachta...

— A widzisz. A ja się urodziłem w siedemset dziewięćdziesiątym dziewiątym, a teraz ma my ośmset ośmdziesiąty szósty, to ileż mi jeszcze do setki brakuje, panie Dzięgielewski, herbu Cykorya?

— Ozorya, żeby po prawdzie powiedzieć, do usług księdza kanonika dobrodzieja.

— Niech mu będzie. No, wiele?

— Żeby ksiądz kanonik miał dziewięćdziesiąt, toby brakowało dziewięć.

— A żebym miał sto, toby nie brakowało nie, prawda?

— E, kiedy to jegomość musi zaraz człowieka stropić. Jak się zaś od dziesiątki odejmie...

— No, wiele, prędko?

— Ou, przecież to tak zaraz...

— A nibyś taki, panie Dzięgielewski, w ra

chunkach nagły, jak żyd w tańcu. To już ci po moję. Trzynastka mi brakuje do setki. Wieleż to czyni!

— Właśnie chciałem powiedzieć, na psa urok, ośmdziesiąt siedem.

— Trzynastka, panie Dzięgielewski, trzynastka feralna cyfra. Ale, jakem szlacheie, jakem Piotr Zalański, nie opuszczę Panu Bogu od setki ani dnia, na honor, nie opuszczę. Czym to jeszcze nie krzepki? Zeszłej niedzieli, pamiętasz waś, jakem huknął z ambony ku panu Karasowskiemu Bolesławowi z Wólki, co był zasnął w ławce, tak się wzdrygnął, aż mu okulary z nosa spadły. Oho! jeszcze się nie dam. Napileś się, panie Dzięgielewski, wódki?

— Jakże, kiedy ksiądz kanonik tylko obiecać raczył?

— No to wyjmijże karafeczkę z kredensu. A że dziś poniedziałek, a jutro wtorek, dwie. Nie tę, tamtę, tak. Na tę intencję lykujesz sobie naprzód anyżki, potem kminikówki.

— Z łaską księdza kanonika.

— Lyknąłeś?

— Niby tak.

— Teraz drugą.

— Niby już.

— Zakąśże teraz pierniczkiem. Dobry?

— Hm! hm! Delicje!

— No to idźże teraz, panie Dzięgielewski do domu. a klaniaj się pięknie pani Dzięgielewskiej i pannie Anastazyi Paprykowskiej, jej siostrze ciotecznej, a ja sobie tymczasem pacierze poranne odmówię. Bóg z tobą, panie Dzięgielewski, herbu Cykorya.

— Całuję rączki księdza kanonika dobrodzieja. Ozorya.

I pan Dzięgielewski, obtarłszy rękawem płowe, siwiejące, długie wąsy, pocałował księdza kanonika niżej łokcia i wyszedł.

Wówczas starsuszek przeżegnał się, złożył ręce na piersiach i począł chodzić po pokoju jednostajnym wolnym krokiem, szepeąc półgłosem modlitwy, zaś stary gończy Zagraj, śpiący dotychczas pod kanapą, otwarł naprzód jedno oko, potem drugie. wstał, przeciągnął się, ziewnął, i jak to już od lat dawnych zwykł był czynić codziennie, puścił się krok w krok za swoim panem. Od czasu do czasu starsuszek ręką muchy uprzykrzone odganiał, od czasu do czasu kłapał na nie zębami stary Zagraj i tak chodzili obaj aż do śniadania.

W trakcie modlitwy ksiądz Piotr spoglądał niekiedy na ścianę, gdzie wisiały pięknie wypolerowane dubeltówki i tkwiły wielkie, rosochate poroża jelenie, przyglądał się chwile kwitnącym w doniczkach na oknie hyacyntom

i azaliom, albo wybujałym pod oknem malwom i słonecznikom, niekiedy przewiódł mimo chodem oczyma po zrównanych w rząd cybuchach i połyskujących piankowych fajkach, lub też nie przerywając szeptu pacierza, przed szafą z książkami się zatrzymał, te, ową poprawił, i szedł powoli dalej, pies zaś za nim. Na świat też nieraz spojrział, bo na dziedzińcu uwijali się parobcy w ponsowych kabatach, pan Walenty Mościak, ekonom, krzyczał i komendował, młode psy rozganiały kureczęta, stary, obłaskawiony żóraw, Marcin, żróbki płoszył i indorom się sprzeciwiał. Gwarzył i ruch. Dziewki w żółtych i pstrokatych chustkach na głowie. przechodziły, nucąc tęsknie i rozwiodle, pa wie roztaczały świetne ogony i puszyły się, wle kąc skrzydła po ziemi, gołębie chmurą zlatywały z nad dachów i wznosiły się nad nie, zataczając wielkie koła. Na to wszystko padało poranne słońce, bardzo jasne i promieniste, kładło plamy złotawe na ziemi i słało poświetał nie niącą na lipach i brzach.

Ksiądz Piotr, nie przestając się modlić, pa trzył w okno siwy i eichy, z dłońmi zetkniętymi przy ustach, a gdy już ostatnie słowa pacierza wyszeptał, jeszcze znaku krzyża nie kładł, tylko stał przy oknie długo i patrzył. I potem znak krzyża na własnych naprzód ra-

mionach uczyniwszy, kreślił go w powietrzu, błogosławiąc z swego pokoju kłonicim łanom, lasom i wodom rybnym i ludziom w polu robiącym, i trzodom, co się po łakach pasły.

Tak było często.

Wypiwszy kawę, ksiądz Poitr zapalał piękną fajkę piankową na długim, wiśniowym cybuchu, z dużym, kosztownym bursztynem, dar nieboszczyka kolatora, pana marszałka i pociąg nąwszy kilkanaście razy, pochylał się w tył w fotelu i zaczynał drzemać, przyczem zwykle coś mu się śnić musiało, pomrukiwał bowiem: ho! ho! i poruszał wskazującym palcem prawej ręki, co czynił zawsze, ile razy opowiadał z zajęciem, lub dawne czasy wspominał.

Miało mu się też co marzyć! Dzieciństwo naprawdę "sielskie anielskie" w Żalanach; służba pod księciem Konstantym, kilka lat emigracyi, długa wędrówka, wreszcie kilkadziesiąt lat służby Bożej, twardej i pełnionej po żołniersku, bez folgi, po rozkazie...

Księdzem nie został ten niegdyś świetny rotmistrz ulański z powołania; przyznawał się do tego otwarcie. — Ja — mówił nieraz — urodziłem się, kochanku, na księdza, jak moja dziewka Wikta, co korzec ziemniaków na plecy bierze, na baletnicę. Byłem młody, przystojny, ho! ho! nie biedny, a do tego żywy, lekkomyślny,

pusty, ot szlachcie polski i do tego kawalerzysty. Alem poznał, kochanku, w czemesny zwinili. Ja, kiedy mi mój luzak, Sobek, chłopak z Zalan, szabli niedopolerował, albo butów na czas nie przyniósł, buch go w pysk! Mój ojciec, mój dziad, mój pradziad, wszyscy Zalańscy za takie same i podobne rzeczy swoich Sobków buch w pysk! Dlatego mi mój chłopak przed pierwszą bitwą uciekł, dlatego w czterdziestym szóstym mego brata stryjecznego Stanisława je go własny lokaj za nogę z konia ściągnął, a potem go chłopci tak zsiekli, że go poznać nie można było. Ja poszedłem robić ekspiacę za siebie i za innych Zalańskich, poszedłem, kochanku, służyć tym, względem których czułem się winny... A czy ty myślisz kochanku, że mnie łatwo było rzucić wszystko, cały świat, który mi się śmiał, sutannę oblec, na wieś iść, dzieci chłopskie chrzczyć i szecerbate baby spowiadać. Nieraz myślałem, że nie wytrzymam, kochanku. Jeszcze jak węgierska wojna wybuchła, o małym sutanny na kolku nie zawiesił i za Karpaty nie ruszył. Ale powiedziałem sobie: zameldowałeś się Bogu do służby, służ! A służba Boża twarda rzecz i On nie żartuje. Kiedy dobry, to dobry, ale jak się rozsierdzi, wszyscy w ką, nawet Michał Archanioł, choć te wielki wojownik i dyabłu skórę wyprał, stro-

mami tylko szablą pobrzękuje a przed Panem Bogiem tak ją cicho w garści niesie, jakby po cesarskich pokojach stąpał. A cóż dopiero marny człowiek, choćby nawet kanonik. Ho! ho! Ale potem jużbym za skarby świata mojej sutanny nie zwłóknął i mojej parafii nie opuścił. Com z początku, kochanku, jako pokutę, jako ekspiacę podjął, żebym ja pan z panów i oficer kawaleryjski między proste chłopstwo schodził, życie mu moje, moje dni i noce w ofierze uiośl, tom się w tem potem rozmiłował... A potem rozmiłowałem się i w rzeczach boskich i zaczęłem te dusze boskimi robić.

I myślałem sobie znowu: co ja tu jedną duszę kłonicą Bogu przysposobię, to On tam, sędzie sprawiedliwy i miłosierny, Zalańskim choć po roku jednym pokuty czyścowej odpuści. A potem przez miłość Boga zacząłem i ludzkość szeroką miłować i tę miłość w kłonicie dusze szcześcić... I powiedz mi, może być co piękniejszego na ziemi, jak dusze Bogu. swoim i ludzkości skarbić? A te kłonicie dusze, one są gliniaste i kamieniste, ale w nich i czarnoziem jest, one nie są złe, one są dobre, Tylko one są bardzo trudne i trzeba je, kochanku, bardzo kochać i bardzo im pobłażać i ludzkość im świadczyć. Żebym ja był mojego Sobka mniej bił w pysk, a więcej do niego mówił, nie byłby on

mi przed pierwszą batalią powiedział: "a mnie wciórnaści do tego" — i uciekł, gdzie pieprz rośnie. I widzisz, mogę śmiało, kołchanku, powiedzieć, że do czegoś się zameldowałem, to spełniłem; byłem, śmiało mogę powiedzieć, dobrym księdzem, dobrym duszpasterzem. A żebyś mi to prorokował był tak lat temu sześćdziesiąt, kiedy ja dla panny Jadwigi Karśnickiej siwą klacz turecką ujeżdżałem, a potem ją na tej samej klaczy wykradłem, Panie odpuść, dla mego przyjaciela, Hilarka Roszewskiego, żeby mnie w takim stanie do trumny kładli, kiedy ja myślałem w jeneralskich szlifach na dolinę Józefata iść... Ho! ho! Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi... Ho! ho!... Niema tam gdzie pana Dziegielewskiego?

Bez pana Dziegielewskiego nie mógł się stać ruszek kilku godzin obejść. Ów zaś pan Dziegielewski, z drobnej, zagonowej, żmudzkiej czy litewskiej szlachty, przywędrował jeszcze z ojcem nieboszczykiem Kacprem Dziegielewskim, herbu Ozorya, z Litwy, i znalazł przytułek w kłonińskim dworze. Zrazu pomagał dworskemu pisarzowi w rachunkach, a że do cyfr głowę miał nieosobliwą, a na flecie pięknie grywał, poświęcił się kunsztowi organistowskiemu, i tak z miechów czułość wydobywać umiał, że się pannie Krystynie Kolasikiewiczównie, pokojo-

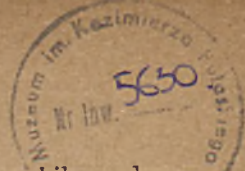
wej pani marszałkowej, mdło zrobiło podczas sumy i ostatecznie została panią organistką, a razem ze stanu mieszczańskiego do godności szlacheckiej podniesioną.

Z panem Dziegielewskim toczył ksiądz Piotr dysputy o wszystkim, zaczawszy od owsa i polityki, kończąc na astronomii i motyli. Droczył się z nim i trafił w jego szaraczkową godność szlachecką, przekręcając mu Ozoryę, co się najmniej od lat trzydziestu zawsze z jednakowym skutkiem powtarzało.

Pan Dziegielewski nosił na codzień czarny halsztuk na szyji, długi tabaczkowy surdut, kamizelkę w centki i pasiaste spodnie, na niedziele zaś i święta, imieniny papieża i księdza kanonika halsztuk z ciemnego granatu, nowy surdut tabaczkowy, kamizelkę sieraczkową i nowe, pasiaste spodnie. Miał pan Dziegielewski czapkę z daszkiem, chustki do nosa czerwone z brązowymi kółkami, rogową tabakierę, trzcinę z posrebrzaną gałką i mosiężną pieczętkę z herbem.

Ksiądz Piotr lubił go bardzo.

Koło plebanii było jak w arce Noego. Oprócz zwykłych, domowych zwierząt, miał ksiądz Piotr mały zwierzyniec, w którym sarny, zajęce i osobliwsze zamorskie gęsi żyły w bezprzykładnej zgodzie. Dozór nad tą mena-



żeryą jak i nad ogrodem, miały sobie powierzo-
ny wszelakie baby i dziady, oraz kaleki i sieroty,
jakie się w okolicy udało znaleźć. Ksiądz
Piotr zbierał biedactwo, przygarniał, odcchow-
wał i wychowywał, Potrzebując dla siebie nie-
wiele, bo go głównie piękne buty i rewerendy,
do czego miał zawsze słabość, kosztowały, a
mając i z parafii i z kapitałów własnych zna-
czne dochody, całe legiony ubogich żywił i o-
dziewał. "Mój sąsiad — mawiał — ksiądz Waj-
dzik, kiedy kościół w Nowosiółtku odnawiali,
bronił malarzom po rusztowaniach chodzić, bo
mógł który w okno wpaść, a szyby drogo ko-
sztuja; grosz do grosza zbija, psu na omastę nie
da, żeby po jego śmierci chłopci blachą kościół
pokryli i nową wystawili dzwonnice; a ja mó-
wię, że ja lepiej robię. Bo Pan Bóg o blachy
na kościele nie dba, tylko o to, jakie się dusze
w tym kościele modlą, a czy Mu się dzwon wy-
żej czy też niżej lipy majda, to Mu także wszy-
stko jedno, byle Mu sereca ludzkie ku niebu
dźwigał. U mniebv się też to i owo na kościele
dało naprawić, ale mnie pierwsza sieroca gę-
ba, niż dziura w gontach kościelnych".

Miał ksiądz Piotr duży ogród cienisty, w
którym wiele drzew, dziś już wyrosłych, wła-
sną jeszcze ręką sadił, przeszło pół wieku bo-
wiem już na parafii kłonickiej siedział. Na owo-

cach znalazł się wybornie, hodował je na prezenta-
dla kelatora i sąsiadów, a kwiatów było u nie-
go wbród. Kiedy się koło niego krzątał, zawsze z
nimi rozmawiał. Jedne chwalił, na drugie zrę-
dził, nad innymi się litował. Trzeba było slu-
chać. — "Uu, takeś to wybujał, nareyzka a-
żeś się zламаł, widzisz. Poczekajże, to cię po-
deprę. Tak. Teraz ci się będzie lepiej rosło.
Trzymajże się dobrze, tak. A ten słonecznik, ło-
buz, jak się to rozpanoszył! Myślałby kto, że
Bóg wie co! Jaki tulipan zamorski, albo ana-
nas! Ty zaś czego się tu spinasz, powoju jeden!
Patrzenie! Będzie na plot laził! Jak żeby żerdki
nie miał! Owa! Jeszeze mi uceziwy groszek do
czego złęgo namówisz. Spróbuuj tylko! A te kon-
waliyki, jakie śliczniutkie. Jak panienki! Tyl-
ko mi się tu nie pehajee, astry. Ho, ho! Znam
ja was. Nibym to nie był przy ułanach! Ho,
ho!"

Czasem ksiądz Piotr, gdy się dobrze po o-
biedzie wyspał, pod wpływem dawnych wspom-
nień nabierał rycerskiego animuszu. a że zdzie-
cinniały już był trochę przez lata podeszłe, o-
fiarą padał pan Dziegielewski. Kiedy się zanio-
sło na zawieruchę przed wojną prusko-austry-
acką, ksiądz Piotr, zakasawszy poły od sutan-
ny, ze starą ułańską szablą w ręku, musztro-
wał na dziedzińcu plebanii ochotników, mie-

dzy którymi był i pan Dziegieyewski, wówczas jeszcze pomocnik pisarza i kawaler. Otóż staruszek bywał od czasu do czasu ciekawy, czy organista nie zapomniał musztry?

— Bierz acan ten długi cybuch, nie ten, tamten, dłuższy — mawiał — a mnie proszę podać ten krótszy. Tak. Baczność! Marsz! W prawo zwrot! W lewo zwrot! Zachodź! Stój!

Organista spocony, zziębnięty, stawał wyciągnięty jak struna przed kanonikiem, a ten przyglądał się jego postawie, szturehając go lekko cybuchem pod brodę i obciążając sieraczkową kamizelkę ku pasiastym spodniom.

Cwiczenia te wojenne, choć dosyć rzadkie, irtowały mocno gospodynię księdzu kanonika, pannę Katarzynę Capikównę, jako "i z powagą stanu kapłańskiego nielecujące i zdrowiu jegomości szkodzić mogące".

Milczała jednak do czasu.

Ale raz nieszczęśliwie zdarzyło się, że księdzu Piotrowi, który sływał niegdyś, jako rębacz i jedenaście pojedynków odbył, a tylko go raz pan Bogusław Chomialski lekko koło prawego ucha drasnął, za co sam miał twarz "rozjechaaną" od ucha po szyję, zacheiłał się spróbować, czy mu jeszcze "ręka chodzi".

— Panie Dziegielewski, weź-no dziś ten drugi, krótszy cybuch — rzekł, wstając z fotelu

i zdejmując fajkę z cybucha, z którego ciągnął.

— Naco, że śmiem zapytać?

— Zobacysz. Parujno kwartę.

— Jak ksiądz kanonik mówi?

— Broń waśc brzucha z lewej strony.

Organista zdumiał się.

— Wszelki duch Pana Boga chwali, pa prawdziwie żeby powiedzieć! Wedle czego?!

— Nie pytaj się nic, tylko słuchaj. Na lewej nodze się oprzej. Lepiej, tak. Przegnij się. Brzech w tył. Oou, jaki to sztywny masz brzuch. Jakem był w twoim wieku, to jeszcze miałem jak panna Klocia Tymińska, com to jej onegdaj gruszek suszonych do Strzyżowic posłał na siedemnaste urodziny. Podnieś głowę. Prawa wolna, Tupnij! Raz, dwa! Wypnij pierś. Ręka tak. Potem tak. Rozumiesz? Ja tak, ty tak! Raz, dwa! Garde Vous!

— Podług rozkazu księże kanoniku!

— Teraz baczność! En garde!

Organista jęknął, a kwarta poszła tak dobrze, że ukodziła nietylko w brzuch pana Dziegielewskiego, ale i w dwa wazoniki z fuksjami na oknie, które zleciały z wielkim hałasem.

"Biada podrzędnym istotom, gdy wchodzą pomiędzy ostrza potężnych szermierzy".

zadeklamował ksiądz Piotr, stając nad skoru-

pami, ale w tem panna Katarzyna Capikówna wpała do pokoju, czerwona jak pomidor, gwałtowna jak bomba.

— Jegomość! — krzyknęła.

— A co? — spytał skonfundowany nieco ksiądz Piotr, nadrabiając miną.

— Wstyd i obraza Boska! Żeby tak kto zobaczył! Ksiądz kanonik, jak fireyk, z cybuchem po pokoju. A pan organista mógłby też mieć rozum. Ojciec dzieciom! I niby jakiś szlachcic! Jak się to jeszcze raz zdarzy, nie dam kawy, jak Boga mego, nie dam kawy!

— Owa! Babska groźba, żabie deszcz! — ośmielił się mruknąć ksiądz Piotr.

— Babska nie babska! Jegomość mi też podłotek! — ofuknęła panna Katarzyna. — Może kamizeleczkę białą i żabocik! Patrzeie! — i zaperzona wpała jak huragan z pokoju.

Ksiądz Piotr jednak był kontent.

— Baba jest zwyczajnie jędza — mruzczał — a bądź co bądź ręka nie jest jeszcze zła. Jak by tak padło, ho ho!

Lubił ksiądz Piotr w letnie południe w zaogrodzie plebańskie wyjść i na ławce pod starym cisem siadłszy, w świat patrzeć. Widział stąd zboża złociste, pełne modrych bławatków i maków czerwonych, różowe i białe zagony konieczyn, łąki zielone, przesiane mnóstwem różno

barwnych kwiatków, mieniące się pod błasłoneczny. Widział bór ciemny, jakoby pod graca, przeźrocą gazą złotoszmaragdowego światła i gdzieś daleko mgliste, błękitniejące góry a nicopodal jezioro wielkie, ciche, lekko falująca z wiatrem rozehwiej wodną, neufarami u brzegów i szeleszcząsem sitowiem zarosłą, iskrzącą się miejscem jak blacha srebrna a słońcu, miejscem siwą lub siwo-fioletową. Po jeziorze pływały kaczki dzikie, czerniąc się na topieli sznurami, zawisały ponad niem czaple o skrzydłach szerokich i chmary czajek krzykłych, a jezioro ciągnęło się szeroko, głęboko w kraj, ciche, senne, lekko z wiatrem faliste.

Wszystko to było zatopione w jakąś szeregogę światła, nieskończenie spokojne, rozległe prawie bezgraniczne, jakby zasłuchane w wiat i szum łąk i wody, łagodnej smętności, rozkołysanych tęsknot, jakiejś polnej zadumy i dziwnych, ogromnych upojen pełne. . .

Ksiądz Piotr patrzył i patrzył, i zrazu odróżniał zboże od łąk, a las od wody, ale powoli poczynał mu się ten cały duży i rozmaity świat zlewać, łączyć, zamieniać w jedną wspólną barwę, błękitną a prześwietloną. Zboża, kwiaty trawy i ciche kręgi fal jeziora i czaple na szerokich białych skrzydłach i stada krzykłych czajek i obłoki przejrzyste i niebo jasne

błękitne, wszystko to napełniało mu oczy i czy-
niło w nich wielką światłość pogodną i nie-
zmiernie słodką. Zdawało się księdzu Piotrowi,
jakoby on już nie świat sam rzeczywisty, ale
duszę świata widział, raczej opar jakiś czy
mgłę, kolory ziemi niosącą, niż samą ziemię.

A potem to widzenie więcej duchem, niż
oczyma, poczynano się gubić i rozwiewać w
przestrzeni wyłaniających się z pamięci obra-
zów, niegdyś widzianych. Zatem poczynano się
w duszy księdza Piotra rozbłękitniać olbrzymie
przewieje morskie, z okrętami o białych ża-
glach i olbrzymie przewieje pustynne; poczy-
nały w niej szumieć cedry Libanu i palmy oaz
arabskich, poczynano w niej rósć piramidy mil
czące i wulkany o czerwonych kiściach płomie-
nia u szczytu; poczynano się jawić miasta
wschodnie, stubarwne, i owe rzymskie martwe,
z ziemi dobywane, i ludzi tłumy i zwierzęta
dziwne; tworzył się w niej jakiś łagodny, przy-
ćmiony odległością czasu chaos wrażeń, oga-
rniało ją zapomnienie się, zamyślenie. I nieraz
dopiero wysłany umyślnie przez gospodynię u-
lubieniec staruszka siedmioletni sierota, Ignas
Znajda, budził go z zadumy, ciągnąc za su-
tannę.

— Jegomość!

— A... a co?

— Jegomość spali?

— E, tak mi się tylko nieco zdrzemało.

— Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi,
eoby jegomość śli.

— Dobrze, dobrze, zaraz idziemy.

— Jegomość!

— A co?

— A cy Pon Jezus to tak po niebie chodzi
jak jegomość po ziemi?

— A tak.

— A cy je bosy?

— A pewnie. Pocóżby tam buty nosił,
kiedy ciepło.

— A cy je wielgi?

— Ho, ho! jak świat!

— A to jak pierun gruchnie, to mu
między palce od nóg leci?

— A pewnie, pewnie.

— A cy je dobry?

— Ho, ho! Jak miód!

— A miód je dobry?

— A czyś to nie próbował?

— A Pombók?

— A Pan Bóg jest też dobry.

— Jesee lepsjsy?

— Nie, jednako, jednako.

— A wielgi je Pombók?

— Taki, jak i Pan Jezus.

— Jegomość!

— A co?

— Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby jegomość śli.

— Dobrze, dobrze, chodźmy.

— No, to podźcie. Dojeie renke. Pomalućku, boście starzy.

I Ignaś brał za rękę księdza Piotra i szli razem ścieżką ku plebanii, rozmawiając po drodze dużo i seryo.

Zajęty służbą Bożą i ludzką, a zajęty bardzo ciężko, ksiądz wikary bowiem, studyujący dniami i nocami dzieła teologiczne, małą nu był wyręką, nie miał ksiądz Piotr wiele czasu myśleć o śmierci, tem bardziej, iż zawsze zapowiadał, iż od setki ani dnia Panu Bogu nie opuści. Ale pewnego jesiennego wieczora, kiedy słońce zaszło, ostatnie fioletowe plamy kładące na ciemnym niebie, ksiądz Piotr, który dłu go przedtem siedział w milezeniu na ganku od ogrodu, zdając się drzemać, zwrócił nagle głowę ku siedzącemu naprzeciw organięcie i rzekł poważniejszym niż zazwyczaj głosem:

— Panie Dzięgielewski, mnie się zdaje, że trzeba iść.

— A dokąd, że śmiem zapytać?

— Dalej, niż stąd do kancelaryi parafialnej. Tam... I pokazał ręką ku biejącemu się

cpodał murowi ementarnemu.

Dzięgielewski zachnął się:

— A co też ksiądz kanonik dobrodziej wygaduje! Po prawdzie, żeby powiedzieć, to nawet nie przystoi, pfe! Jeszcze można w zią godzinę...

— No, zobaczysz, panie Dzięgielewski, organisto kłonięki, że mnie już trzeba iść. Już czas, już i tę trzynastkę Panu Bogu odstąpić muszę.

— O, o! Wolalby jegomość nawet nie wymawiać takich przykrości.

— E, już i czas. Spowiadałem się właśnie dziś rano, jakby umyślnie. I komunię przyjąłem. Gotów jestem. Po księdza wikarego też jeszcze posłać można będzie, ale przeprosić go pięknie, bo pewnie nad "Summą teologiczną", albo "Naśladowaniem Chrystusa" będzie siedział. Takich kanonikami robić, nie mnie, staro bajdę.

Od pół szły przez ogród chłodne i zwiędłe wonie jesiennie i slychać było cichy, jednostajny szum wiatru.

— Panie Dzięgielewski — ozwał się staruszek.

— Słucham księdza kanonika dobrodzieja.

— Słuchaj waść, ale nie mnie, tylko świat. Słyszysz, jaki to szum? Wydaje mi się, że

słyszę obrót całej tej wielkiej maszyny, której Bóg jest budowniczy i maszynistą wiecznym. Kręcą się na osiach planety i słońca, wszystko idzie po swoich drogach i szumi. Cały świat szumi. A On, budowniczy i maszynista wieczny, słucha i raduje się. Pomyśl tylko panie organisto kłonicki, Mateuszu Tymoteuszu Dzięgielewski, herbu cykorya, jaki to ogromny eudowny szum być musi! Ty myślisz, że jak wiatrak Kuby Michałowego z Zardzawicy, a to jak tysiąc, milion takich wiatraków. Ho! ho! Jak wszystkie fale Atlantyku i wszystkie wichry Sahary razem wzięte. Słuchaj tylko...

— Słucham księżę kanoniku.

— Słyszysz?

— Słyszę, jak wiatr po ogrodzie szuści.

— A tego szumu świata, tej maszyny ogromnej, nie słyszysz?

— Nie, z przeproszeniem księdza kanonika dobrodzieja.

Ksiądz Piotr pomilezał chwilę, a potem znowu zaczął mówić:

— Odsuń, mości organisto tę szybę od północy. Niech jak najwięcej zapachu z pola wejdzie. Tam, jak tam... może być, jeśli Bóg miłościwy, i światło prześliczne i chóry anielskie i wonie rajskie mogą być i wszelki cud, ale przecież kłoniczek pół nie będzie, nie będzie

tego zapachu z mego parafialnego ogrodu... Wieczność jest długa, ale i pięćdziesięciu lat też pies nie przeskoczy... Te młode więzy każesz podeprzeć, a żeby grusze dobrze na zimę słomą owinęły... Ho! ho! Takiego zapachu nie będzie... Mości panie Dzięgielewski, ja byłem w Ziemi Świętej i w Arabii i we włoskich pomarańczarniach, a takiego zapachu jak u mnie w Załanach dawniej, a potem tu w Kłonicach, nigdzie nie było. Pnie Dzięgielewski!

— Do usług księdza kanonika.

— Czy to już miesiąc wschodzi?

— Niby.

— Jasny jest? Bo mi się źle w tamtą stronę oglądać.

— Jasny.

— To chwala Bogu. Nie chciałbym w niepogodę umierać.

— Uu, co też to ksiądz kanonik...

— Cicho, panie Dzięgielewski, organisto, cicho. Miesiąc poświęci duszy, jasnym gościńcem pójdzie. A i dobrze, jeśli z ganku. To prawie tak, jakby z pola. U nas w rodzie mało kto na łóżku gaśli. W polu gaśli. Dobrze, że się skończyli, bo kto wie, co by z nimi było, tak, jak z innymi. Kotu na łódź szlachectwo bez szlachetności w duszy. Tak, panie Dzięgielewski.

— Słucham księdza kanonika.

— Ubierzesz mnie w nową sutannę, tę na jedwabnej podszewce, pasem jedwabnym przewiążesz, szpilką złotą z Korabiem przepiąć, bu ty nowe wyglansować, łańcuch kanoniczy na szyję, ordery moje wojskowe na pierś. Sygnet zostawić na palec, niech idzie ze mną... Obsypiesz mnie kwiatami, dużo macierzanki, bo pachnie, narcyzy w głowach. I szablę moją, mości Dzięgielewski, złamać, bo jestem z rodu ostatni... Cóż to, ty buczysz, panie Dzięgielewski?

— U-u-u... bo ksiądz kanonik tylko mi serec kraje...

— Albo wiesz co, panie Dzięgielewski, szabli lamać szkoda, ale mi ją cicho, żeby ksiądz wikary nie widział, pod sutannę we fałdy włożysz. W rękach krzyż, nibym ja tylko ksiądz, ale tam, pod bokiem, szabla... Czujesz, jak z mego ogrodu pachnie, panie organisto?

— Czu-czuję... księżę kan-nnoniku do-brodzieju...

— Testament jest tam, w biurku. Wszystko w porządku. Żebyś mi tu zawsze panie Dzięgielewski, kwiaty w doniczkach podlewał i ogrodu strzegł. Nie nie sprzedawać, nie nie wyprzedzać. Na wszystko fundusz jest. Na dziady i na baby, na sieroty i kaleki, na zwierzyniec,

na Marcina i Zagraja. Wszystko ma być, jak było, póki nie wymrze, albo nie wyrośnie i w świat nie pójdzie. U mnie było jedno serec dla całego świata. Sarnię bez kozy takiej litości warte, co i dziecko małe. Bóg wszystko stworzył, wszystko miłuje i o wszystkim wie. Panie Dzięgielewski!

— Co ksiądz kanonik rozkaże?

— Bułanki panu Strzemieskiemu do Topolicy posłać. Broń Boże nie sprzedawać! On im laskawy chleb da, bo nimi ostatni Zalański jeździł. Mój dziad pannie Bronisławie Strzemieskiej, będąc nieco podchmielony, srebrny im bryczek z ręki wystrzelił, a potem jej do nóg padł i ona była moją babką. Stąd my krewniacy. Bułanki do Topolicy, siwki księdzu wikaremu na pamiątkę, bo on rad tą maścią jeździ i tych jednych się nie bał. Strzałę weźmie porucznik Kotwicz, to kawaleryjski koń. Może da Bóg jeszcze obaj nie tej trąbki będą słuchali, co dzisiaj. Ho, ho!... Fajkę z Maryą Antoinetą i kałamarz brązowy z Napoleonem także księdzu wikaremu. Z majątku mego będzie fundusz na zakład wychowawczy, a tobie, panie Dzięgielewski, przekazałem testamentem dwa buhajki, dziesięć tysięcy i jeszcze tam to i owo, a tu masz ciepłą ręką tę tabakierkę

szylkretową z rubinem, żebyś o starym księdzu pamiętał.

— Uu, uu. uu, księżu kanoniku dobrodzieju!...

— A nie klękaj przedemną waśé, nie całuj mię po kolanach, fe, wstyd, wszysceśmy równi. A że ja mam więcej, to ci daję. Tak powinno być i koniec. A nie buez tak, panie Dzięgielewski, bo ludzi pobudzisz... Narobią się dzień cały, potrzebują spać. Ja się też choć pół życia napracowałem trza iść spać... A tak przecież dziwnie... Niby się wie, że się ma umrzeć, a tak dziwnie... Tu jutro już może człeka nie będzie, a tu żeby choć jeden listek z lipy opadł, żeby choć jedno źdźbło trawy zawiędło... A przecież wszystko z jednego Boga wyszło, Bogiem trwa... Marność marności jest człowiek i nie tylko marność... Rok, dwa, będą pamiętali, potem zapomną... Niech tam, byle Bóg miłosierny nie zapomniał... O resztę nie!

— Jak mi się też żywo przypomina, jakem tu pierwszego dnia przyjazdu po alei grabowej w ogrodzie chodził... Takie były te graby, jak i dzisiaj, rozłożyste i szumiące. Lat pięćdziesiąt, pół wieku z górą... Nie chce mi się wierzyć, żeby ta pszenica tak samo prosto rosła, a przecież będzie... Tyle lat. Com ja tu chrzciał, com tu pochował... O, jak to jasno.

Przez liście winne, które ganek gesto obrośli, poczęła wmykać się światłość miesięczna, cicha i srebrzysta, zawisała na liściach i patrzyła w dół. Szum wiatru, poruszając liśmi. jakoby przymykał i odchylał jej powieki. Ksiądz Piotr spoglądał jakiś czas w górę, potem głowa opadła mu ku piersi, a pan Dzięgielewski, któremu grube łzy spływały na wąsy, słyszał, jak staruszek szeptał:

— Niema co, niema co, trzeba iść. Teraz wieczór, jutro rano, ale trza... Jak to księżyc na mnie patrzy... Jakby mi jasność jaką zapowiadał niebieską. Ale kto wie... nigdym się niezego nie bał, com się to śmierci napatrzył w oczy, a przecież mi jakoś straszno... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu, Boże bądź miłościw mnie grzesznemu... Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa... A i krew jest na mojej duszy...

Opuścił jeszcze niżej głowę na piersi i milczał chwilę, ale nagle podniósł ją i silnym głosem przemówił:

— Mości Dzięgielewski, jak odśpiewają Requiescat pax, każesz ze wszystkich możdzierz parafialnych huknąć... Pamiętam w brzezince leci na mnie oficer dragoński, jak go chlasnę! Ale to było w dobrej sprawie, panie Dzięgielewski... Poprawno ten knotek w

lampce przed Matką Boską Bolesną... Tak..

Poczem ksiądz Piotr przymknął powieki i poczał drzemać, ale organiście się zdawało, że głowa opada staruszkowi coraz niżej i że od-
dycha coraz słabiej i słabiej. Trwało to czas ja-
kiś, aż się pan Dzięgielewski zaniepokoił i miał
już wstać, aby przywołać pannę Capikównę,
siątej i we drzwiach, wiodących z sieni do gan-
ku ukazał się mały Ignas Znajda w koszulinie
gdy zegar uderzył dwa razy na wpół do dzie-
i płóciennych majteczkach. Podszedł on ku fo-
telowi księdza Piotra, i pociągnawszy go lekko
za sutannę ozwał się:

— Jegomość! Podźcie! Pani gospodyni ko-
zeli pedzieć i prosi, eoby jegomość śli spać.
Podźcie, dojcie renke! Pomalućku, bōście sta-
rzy. Jegomość!

Ale kiedy ksiądz Piotr nie poruszył się, ani
nie odpowiedział, wówczas Ignas podniósł oczy
na pana Dzięgielewskiego i spytał:

— Panie organisto! cy jegomość pomarli?

KONIEC.





6238